

Święci polni

Święci polni. Tak nazwał Jasiu kolejną wycieczkę pieszą zorganizowaną przez "Odkrywanie okolicy" (odkrywanie.bystrzyca.pl). Fajna nazwa.

I wycieczka też fajna: "Polami, polami, po miedzach, po miedzach, po błotku skisłym w mgłę i wiatr, nie za szybko, kroki drobiać..."

Nie, błotka skisłego (jak w tej piosence: "Ponidzie", Wojtka Bellona, z której zaczerpnąłem cytaty), nie było. Pora też nie taka, jak w piosence – nie wiosenna, lecz taka "późnoletnia", bo to koniec sierpnia (25 sierpnia 2018 r.).

Ale tempo wycieczki było właśnie takie: nie za szybko, niespieszne... Szliśmy też chwilami i po polach, na których już zżęto zboża. A prawie cały czas szliśmy miedzami – więc tak, jak w tej piosence.

Był też las, ale to dopiero na koniec. Będzie w tym opisie wycieczki jeszcze i Ponidzie (choć to daleko stąd). Ale to później. I będą też kapliczki (ci święci polni), po drodze. Będzie o kapliczkach, tych tu, na polsko-czeskim pograniczu, i o jednej na Ponidziu też.

Spotkaliśmy się na polsko-czeskiej granicy przy przejściu granicznym w Tłumaczowie. Nie dużo nas – 12 osób. Ale to może i lepiej, bo pamiętam jedną wycieczkę z 77 uczestnikami, która była już taka trochę "niesterowalna". Tutaj natomiast wszyscy będziemy iść dość zwartą grupą.

Dawniej sporo się w Tłumaczowie, na granicy, działo: straż graniczna, celnicy, kantory walut. Przez jakiś czas za mało było nawet miejsca na to wszystko w tych starych budynkach, które tu były (i są), więc dostawiono jakieś takie piętrowe baraki. Ktoś z naszej wycieczki opowiada, że on (jego firma) projektował wtedy te i inne tego typu budowle, dla Tłumaczowa i innych przejść granicznych. Ale potem, czasem niemal zaraz (stąd zasadne pytanie: kto tak planował, żeby zmarnować te nakłady?), weszliśmy do strefy Schengen, gdzie nie ma kontroli granicznych. I wszystko to stało się niepotrzebne. Baraki zdemontowano i gdzieś wywieziono.

W innych natomiast miejscach, gdzie barakowej prowizorki nie było, można oglądać (ot choćby trochę dalej na granicy polsko-czeskiej Meziměstí/Mieroszów), jak dopiero co wybudowane solidne budynki stoją teraz puste, niszczeją. Tutaj, w Tłumaczowie, w jednym z budynków granicznych, jest teraz przedszkole publiczne gminy Radków. I punkt biblioteczny! Wzruszyłem się: w dzisiejszych czasach, gdy Polacy wydają ponad 15 mld rocznie na piwo (dane z 2016 r.), a na książki tylko ok. 2,5 mld (pewnie w tym są już i tak wliczone kwoty na podręczniki, które rodzice muszą dzieciom kupić), to tutaj powstał jednak punkt biblioteczny! Raz w tygodniu ktoś tu przywozi książki (pewnie można wcześniej zamówić, co się chce przeczytać?) i wypożycza! Jeszcze książka (tradycyjna) nie zginęła?

Patrzmy na stary wiadukt kolejowy: nawet z daleka straszy rdzawym kolorem – bo to nie jest ten piękny rudy kolor jesieni... Kolej już tu zginęła. Chociaż, jak to się teraz mówi "ale nie do końca", bo właśnie tutaj dokonał się jeden z cudów gospodarczych: wszędzie w Polsce kolej od dziesiątek już lat likwidowano, a tu, kawałek dalej, uruchamiając kopalnię melafiru, właściciel tego przedsiębiorstwa wybudował własny kawałek kolei, aby wywozić stąd ten skalny urobek. Podobno taki miał warunek od władz, ale i tak chwala mu za to, bo jak znamy życie, pewnie nie był to warunek "nie do przeskokowania". Np. nawet niedaleko stąd, gdzieś pod Nową Rudą, były niedawno protesty mieszkańców – sąsiadów tamtejszych lokalnych kamieniołomów, że TIR-y, wywożące stamtąd skalny gruz, rozjeżdżają im wieś, nie pozwalają żyć w spokoju. A tu jednak kolej robi to, do czego się właśnie kolej najlepiej nadaje: transportuje surowce.

Jeszcze raz się spotkamy z koleją, ale to już na koniec wycieczki, gdy powrócimy do głównej drogi prowadzącej w Czechi (do Broumowa) od przejścia granicznego w Tłumaczowie. Ale to też tylko będą pozostałości po kolei, gdyż infrastruktura wprawdzie jeszcze istnieje, ale pociągi już tu nie kursują. Chociaż Czesi mają tu te swoje lokalne linie kolejowe i z tego, co zaobserwowałem, te pociągi jeżdżą i nie są puste. Nam jeszcze nie przychodzi do głowy takie myśli, że jadąc do powiatu (tutaj: do Kłodzka) z miasteczek i wsi (Ziemi Kłodzkiej), można

podjechać swoim autem lub rowerem na dworzec kolejowy w swojej miejscowości, tam swój pojazd zostawić i kontynuować podróż koleją – np. do stacji Kłodzko Miasto, skąd do każdej instytucji powiatowej w tym mieście (Starostwo, Sąd Rejonowy, ZUS, PUP itp.) jest co najwyżej 15 minut spacerkiem... Nie – każdy wsiada w swoje auto i chce dojechać pod same drzwi. Tyle że już coraz częściej pod drzwiami się nie zaparkuje. Miejsc parkingowych brak! Czy to sprawi, że jeszcze "przepraszamy" się z lokalną drogą żelazną? I zaczniemy korzystać z kursujących np. do Kłodzka szynobusów, tak jak to robią u siebie Czesi, Niemcy?

Na razie idziemy dalej, drogą polną, która zaczyna się po polskiej stronie przejścia granicznego i idzie lekko w górę, na północ. Rozpoczęliśmy naszą wycieczkę. Świętych polnych na razie nie spotykamy, ale mają być: idziemy przez tereny katolickie. Po polskiej stronie granicy są one takie nadal; po czeskiej stronie kiedyś takie były. Na razie idziemy przez inną świętość: ziemia. Ziemia orna. Ziemia-Matka. Świętość dla rolnika. Dochodzimy do takiego miejsca, trochę jakby zagłębionego terenu, łagodnie wznoszącego się rozległą kopułą wzgórza przed nami: ziemia, już po żniwach, tu i tam już wzruszona pługiem. A nad nią przestrzeń nieba, chmury.

Nie robię zdjęć, ale ten moment, ten widok przypomina mi znany obraz. I nie tylko mnie, bo za chwilę w trójkę, moja siostra Agata, i jeszcze jeden z uczestników wycieczki, wspólnie próbujemy sobie przypomnieć, kto namalował taki pejzaż. Pada nazwisko malarza: Gieryski. Może i tak, nie sprawdzałem, ale teraz, pisząc to wspomnienie z wycieczki, poszedłem za tropem swoich myśli: tak, to była wystawa w Muzeum Regionalnym w Toruniu. Gościnnie tam eksponowana, bo wcześniej objechała z pół Polski. I my przypadkiem, na rodzinnych wakacjach, zwiedzając Toruń, trafiamy tam na tę wystawę: "Ferdynand Ruszczyc 1870-1936. Życie i Dzieło". To było już przed wielu laty i stojąc teraz na tym polu nie mogłem sobie przypomnieć nazwiska tego artysty, chociaż jego obraz stał mi przed oczami. Ma tytuł właśnie "Ziemia" (1898 r.). Jest do obejrzenia w Muzeum Narodowym w Warszawie (chyba, że właśnie jest eksponowany gdzie indziej – jak wtedy w Toruniu). Tam zresztą, w Muzeum Narodowym, po raz drugi, też już dawno temu, go widziałem.

Patrzę na reprodukcję tego pejzażu w Internecie i porównuję. W "naszym" krajobrazie brakowało tylko tego rolnika pochylonego nad pługiem i pary wołów, które ten pług ciągną. Ale jest to ten sam prastary widok ornej ziemi, nad którą przemieszczają się skłębione chmury. Archetyp.



Ferdynand Ruszczyc: "Ziemia"

Choć te pola są już, patrząc na to z drugiej strony, nowoczesne. Teraz, co kilkadziesiąt metrów, stoją na nich wielkie bele sprasowanej słomy. Obok nas przejeżdża traktor. A na polach poza tym jest tu widoczna mechanizacja i elektryfikacja: elektryczne pastuchy, w dolinie wielkie obory. Czesi nadal mają to rolnictwo w sporej części skolektywizowane: "ichnie" PGR-y i RSP-y (rolnicze spółdzielnie produkcyjne) nie rozwiązały się natychmiast po 1990 r. Mają tu też inne rasy zwierząt. Gdy już będziemy kończyć naszą wędrówkę przez pola,

dochodząc znowu do drogi przejście graniczne – Broumow, miną nas, w kłusie którego by się nikt po nich nie spodziewał, owce. Takie jakieś inne, niż nasze. Większe, czarne, a w każdym razie ciemne. I ten tryk, wielkości małego konika, poganiający swoje stadko, swój harem. Ale w sumie, w rolnictwie zawsze to samo: pory roku. Czas siania, wzrastania, czas zniw i czas dziękczynienia za plony. Archetyp. Od tysiącleci ten sam.

Oglądamy pierwszą kapliczkę, przy drodze do wsi. Obramowana starymi drzewami. To jest krzyż w lipach. Będą później jeszcze inne figury: w kasztanowcach na przykład. I dębowy "święty" na koniec. Na postumencie napis niemiecki, dobrze czytelny. Ale choć znamy ten język dość nieźle, trudny jest do przetłumaczenia. Ale te krzyże, to taka *biblia pauperum* (Biblia ubogich): Jezus, Matka, cierpienie, odkupienie. Wszystko wyrażone w kamieniu. Postaci przemawiają. Teraz może nawet bardziej – gdy są tak opuszczone, gdzieś na skraju odległych pól, bywa, oplecione zwieszającymi się gałęziami otaczających je drzew, podniszczone – nadgryzione tym "zębem czas", a jednak trwające. Może nawet bardziej do nas ta ich opowieść dociera teraz, niż kiedyś – gdy je dopiero co wystawiono, jako piękne pomniczki, dopiero co przez artystów/kamieniarzy wykute.

Zresztą to zależy, co sobie ktoś patrząc na nie pomyśli. Może się też pomodli? No, Czech chyba nie...

Na kapliczkach najczęściej są na tylnej ścianie wyryte nazwiska fundatorów. Czasem rok budowy. Zawsze zastanawiam się, jakie intencje mieli ci inwestorzy. Czy zdarzyło im się coś szczególnego? O co prosili, za co dziękowali?

Ja mam swoją rodzinną kapliczkową opowieść. Właśnie ze wspomnianego Ponidzia, gdzie w kieleckiej wsi Kopernia moje korzenie, te "po kądzieli". Tam, gdzie w drodze na pińczowski cmentarz przechodził kondukt pogrzebowy z trumną mojego zmarłego dziadka, Kazimierza Baduraka, stoi też, wzniesiona przez niego, kapliczka. W tym obecnym roku, gdy to piszę, jest 100-lecie jej wystawienia: dziadek wymurował ten krzyż przydrożny w 1918 r., za szczęśliwy powrót z wojny światowej, tej pierwszej (która jeszcze wtedy tego numeru nie miała). Nie wiem, gdzie służył, nie wiem, czy walczył z bronią w rękę, czy tylko np. obsługiwał tabory wojskowe (tak to chyba zapamiętała moja mama).

Kapliczka ta stała przez dziesięciolecia doskonale widoczna, przy pustej drodze, spory kawałek za wsią. Za nią już tylko pola, więc kapliczka była doskonale widoczna z daleka. Dziś trudno ją wręcz zauważyć, ściśniętą między ogrodzeniami domów, które wypełniły, jeden przy drugim, całe kilka kilometrów tej drogi od Pińczowa do wioski Kopernia i dalej do Skowronna. Przypomina mi się tu piękny polski film "Cudownie ocalony". O Polaku, z Kresów, który po II wojnie, w podziękowaniu za to, że uniknął żołnierskiej śmierci, chce postawić Matce Boskiej kapliczkę. Bo tak ślubował, gdy ta śmierć zaglądała mu w oczy. Są lata 50-te ub. wieku i nowa władza, ludowa i antykościelna, kapliczki wystawić nie pozwala. Wiele perypetii, komedia, ale taka mądra: scenariusz Andrzeja Mularczyka (autora m.in. komediowej trylogii filmowej: "Sami swoi", "Nie ma mocnych", "Kochaj albo rzuć" i innych scenariuszy; niestety większość Polaków nie wie, że te "kultowe" filmy zawdzięczamy nie tylko reżyserowi Sylwestrowi Chęcińskiemu i ulubionym polskim aktorom, ale także i jemu).

I wspaniałe w tym filmie role dwóch Opaniów: Mariana Opani i jego syna. A także inne "perełki" aktorskie – w rolach drugoplanowych. To piękny film, ten "Cudownie ocalony". Ta kapliczka, o którą w nim chodzi, w końcu powstała. Też w pustym wtedy miejscu, w jakieś przestrzeni nie wypełnionej. Film się kończy jej widokiem po latach: ostała się, ale dziś stoi na obrzeżach jakiegoś olbrzymiego centrum handlowego. Parking, ludzie przejeżdżają tuż obok niej, ale nikt nawet nie zauważa tej kapliczki. Wszyscy pochłonięci myślami, co kupić, gdzie zaparkować.

To tak jak z tą rodzinną kapliczką przy wsi Kopernia: też nikt już tam nie uchyla czapki, przejeżdżając przy niej autem. Prawie nikt już tam przecież nie przechodzi pieszo. Wszyscy jadą. Obok prowadzi asfaltowa, prosta droga. Kapliczki w tym pędzie już się nie zauważa.

Moja siostra Agata miała piękny pomysł, abyśmy przynajmniej my, wnuki fundatora Kazimierza Baduraka, spotkali się tam latem 2018 r. przy tej kapliczce, ale chyba to już nie dojdzie

do skutku. Lato właśnie mija....

Takie to myśli szły ze mną, gdyśmy tak sobie tej soboty wędrowali, od kapliczki do kapliczki na naszej wspólnej, teraz z Czechami, sudeckiej ziemi.

Po drodze ukazała się na horyzoncie Śnieżka. Jest też taki inny (ze strony innej, niż znamy) widok na Szczeliniec Wielki. Piękne widoczki... Co jakiś czas robiliśmy popas. A potem znowu niespiesznie przemieszczaliśmy się dalej. Jakaś już jesienna melancholia.

Po drodze był w tych polach wyschnięty staw (zresztą nie jedyny, bo inny był kiedyś też obok kościoła w Marcinkowicach). I łupki, które przypomniały mi Góry Pieprzowe obok Sandomierza. I cały czas była historia. Ta świata: epoki geologiczne, i ta tutejsza, choć też jakby światowa, bo napiętnowana światowymi wojnami.

Z pół zeszliśmy, przecinając drogę asfaltową do Broumowa, na jakby drugą stronę doliny i wąziutkim asfalcikiem doszliśmy do urokliwego mostu przy starym młynie. Po drodze były jeszcze małe atrakcje tutejszego budownictwa: wnęki na podesty, takie do siedzenia "na przyzbie" – wmurowywane kiedyś przy wejściach do budynków. Tam się siadało. Takie jednoosobowe "ławeczki", umiejscowione po dwóch stronach drzwi: dla gospodarza i gospodyni. Siedzieli tak sobie w czasach, gdy telewizji i Internetu nie było i patrzyli, kto drogą przechodzi. Pewnie też pogadywali ze znajomymi przechodniami. No i ze sobą. Nie wiem, czy ktoś w tym miejscu, gdyśmy patrzyli sobie na te dawne instrumenty lokalnej *social network*, przypominał właśnie ten skecz przesyłany sobie na "whatsappie", pt. "Spotkanie u babci", czy jakoś tak. Jest na tym spotkaniu cała rodzina, 3-4 pokolenia. Tylko, że każdy wgapiiony w swojego smartfona, więc babcia nie ma z kim pogadać....

Była też przy jednym budynku inna kamienna wnęka: dla psa. A może dla kotów? Bo chodziło o taką, pięknie wymurowaną, wnękę w murze, na poziomie ziemi, przez którą do wnętrza domu mógł się dostawać właśnie pies. Albo i kot – gdyż był to akurat młyn. A młyn to zboże. A zboże to myszy... A myszy to kot – tu łańcuch pokarmowy na chwilę się zamyka.

Za młynem wspięliśmy się w górę i zeszli z asfalciku znowu w pola. Nigdy bym tam sam nie trafił, gdyż wejście jest po prostu z pola, z łąki: na stary cmentarz, który już właściwie cmentarzem nie jest. Był: pod koniec I wojny światowej grzebano tam zmarłych żołnierzy z położonego nieopodal obozu jenieckiego. To był wielki obóz. Broumow, spora, widoczna stąd miejscowość, słynna swoim opactwem, klasztorem, miał wtedy ok. 8 tys. mieszkańców, a ten obóz liczył aż 9 tys. Kilkuset jeńców zmarło; tu ich grzebano, ale w 1927 roku nastąpiła ekshumacja i szczątki zabrano na inne, narodowe, cmentarze. Tu leżeli bowiem razem żołnierze różnych narodowości – koalicji państw walczących z monarchią Austro-Węgierską i Prusami. Ale miejsce, kiedyś jako cmentarz "poświęcone", zachowano. Jest też spory kamienny pomnik. "*Friede mit Euch*" ("pokój z wami") – tyle tylko mają do powiedzenia ci co przeżyli tym, co zginęli. Za cesarza. Tak, wtedy, w tej I wojnie, ginęło się najczęściej za cesarza. Wielu nawet chętnie zginęło. Na ochotnika. Przynajmniej na początku wojny, zawsze się tacy zdarzają...Tylko dzielny wojak Szwejk nie chciał.... Na ten cmentarz trafiła też II wojna światowa, gdyż były tu też mogiły żołnierzy radzieckich, po których chyba zostały te brzozy, tak kojarzące się z krajobrazem rosyjskim. Za co się wtedy ginęło? "*Za Rodinu, za Stalinu...*" Za wolność. A ta pierwsza wojna, taka imperialna, o co była? O nowy podział geograficzny? O dominację, o kolonie zamorskie?

Jakoś zupełnie wydaje mi się bezrozumna, ta pierwsza. Prowadzona przeciw i wywołana przez ludzi, którzy z natury zbrodniarzami nie byli. Ta druga już jakby bardziej rozumiała. Wywołana przez szaleńca, zbrodniarza. To jasne, że trzeba się było przed nim bronić. Ale jak mógł za szaleńcem pójść cały naród? I to taki bogoboyny? Te kapliczki, ci święci polni, opisani niemieckimi wersami, opleceni drzewami i wiarą tego ludu tutejszego – Niemców Sudeckich. Najpierw pierwsza, potem druga - i znowu wszyscy poszli na wojnę, tym razem już jawnie ludobójczą. Dlaczego? Bo "*Gott mit uns*" (Bóg z nami)? Święci polni... A tu całe narody wyprowadzone w pole. Dosłownie i w przenośni: Wyprowadzone w pola bitewne, i "wyprowadzone w pole", czyli oszukane...

Jeszcze jedna refleksja w tym miejscu naszej wycieczki. Akurat trwa plenerowa wystawa i na trasie prowadzącej od miejsca byłego obozu do tego byłego cmentarza na skraju wsi Marcinkowice są poumieszczane tablice z dawnymi zdjęciami. Są też opisy. Tablica przed wejściem na teren byłego cmentarza ukazuje stary obraz okolic Broumowa: pola na pierwszym planie, linia kolejowa, miasto. Tak to wyglądało pod koniec I wojny światowej. Na tych polach kobiety pracują przy żniwach. Zaciekawia mnie to – koresponduje jakby z napisem (napis jest tylko po czesku, ale Jasiu nam to dość dokładnie tłumaczy), który opowiada, że wprawdzie działania wojenne ominęły te tereny, ale wielu mężczyzn zostało powołanych do armii. Stąd te kobiety na polu! Bo chłopcy na wojnie! Tak, to może jedyna (poza naszą polską niepodległością oczywiście!) dobra strona tej pierwszej wojny światowej: kobiety musiały zastąpić mężczyzn przy pracy. Nie tylko w polu: także w fabrykach, urzędach. Wszędzie! I gdy wojna się skończyła, nie chciały już wrócić do domu. W tym sensie: dać się zamknąć, ograniczyć w tych niemieckich trzech K ("*Kinder, Küche, Kirche*" – "Dzieci, kuchnia, kościół"). W Europie właśnie I wojna była tą cezurą czasową, gdy kobiety zaczęły brać udział w życiu publicznym, uzyskały prawa wyborcze. A było to dopiero 100 lat temu! Ktoś dopowiada, że w USA takim przełomem była II wojna światowa. Ano tak: Amerykanie w tej pierwszej uczestniczyli, ale niezbyt licznie. Kobiety nie miały okazji zastępować mężczyzn w przemyśle itd., tak jak te tutaj, w Europie. Ale w latach II wojny światowej, gdy Amerykanie ruszyli do walki na dwóch frontach (w Europie – z Hitlerem, w Azji – z Japonią), ten proces, który w Europie zaczął się wcześniej, dotarł i tam.

Rozmawiamy sobie trochę o tym. Ale teraz najważniejsze jest, że my chcemy dotrzeć do kościoła w Marcinkowicach, a zrobiło się już nieco późno. Tam o godz. 18.00 zaczyna się koncert w ramach wakacyjnych koncertów z cyklu "Skarby Broumowszczyzny". Dochodzimy jednak do kościoła na czas. Tłum! Ci, co teraz docierają w pobliże swoimi samochodami, nie mają już gdzie parkować. Jasiu mówił nam, że będzie spore zainteresowanie, ale to co widzę, przerosło te przypuszczenia. Przecież to nie jest koncert jakiejś popularnej kapeli rockowej, tylko koncert muzyki klasycznej! Każdy musi się więc sam zatroszczyć o jakieś miejsce we wnętrzu kościoła, aby posłuchać muzyki. Idę aż pod ołtarz, ale nie ma nic: skrawka wolnej przestrzeni aby stanąć. Jest tylko trochę luzu pod samym ołtarzem, ale to dla artystów, którzy tu mają siedzieć. O ławkach nie ma mowy, ale wracając nawą główną do wyjścia, widzę, że niektórzy z "naszych" jednak siedzą. I chociaż zdaje mi się, że nikt więcej już do kościoła nie wejdzie, to ludzie wciąż wchodzi! Niepojęte... Staję tuż za kościelnym progiem, ale jeszcze we wnętrzu. Mam super "miejscówkę": mogę się nawet oprzeć o ścianę/drzwi i nie czuję żadnego czyjegoś łokcia w boku. Dzięki o Panie, dzięki! Ci wszyscy Czesi znowu w kościele, choć ich ateizm jest już przecież powszechny. Czekamy w gwarze rozmów (nikt nie traktuje tego obiektu jako świątyni – żadnej tu ciszy, w którą się wchodzi w polskich kościołach – nawet, gdy też ma tam być koncert). Jakiś chochlik/śmieszek (diabełek?) podpowiada mi taki "numer", żart, który teraz byłby tu przepiękny. Ot taki skecz: otóż, gdy oni, ci ateści Czesi, tak tu sobie czekają na zespół smyczkowy, nagle z zakrystii wychodzi ministrant, za nim ksiądz w ornacie, rozlega się dźwięk dzwonka i rozpoczyna się msza święta!

Ale by był numer! Biedne "knedliki" chyba zwątpiłyby w swoje "władze na umyśle"...

Ksiądz rzeczywiście się zjawia, ale nie od zakrystii, tylko z zewnątrz, właśnie wchodzi i mnie mija. Idzie w kierunku ołtarza. Za chwilę dołączy do innych oficjeli ze swoim krótkim słowem wstępnym i – ku mojemu zdziwieniu – znowu wyjdzie z kościoła (myślałbym, że zostanie na koncercie).

A koncert wiolonczelowy już się zaczął. Nie rozumiem, co było mówione – nie wiem nawet jaki to zespół, nie znam jego nazwy. Trochę żałuję, bo dając drobny datek (na ratowanie kościołów – w sensie renowacji, bo na renesans wiary już w Czechach chyba za późno) przed kościołem otrzymywało się program koncertu. A ja jakoś tak zagapiłem się w tej sprawie i teraz nie wiem "co jest grane". Ale ok: trochę, nawet sporo, muzyki "poważnej" słucham, więc właściwie wszystko mi jedno: lubię klasykę, praktycznie wszystko. No, może za wyjątkiem tej całkiem już współczesnej muzyki poważnej: kakofonii dźwięków, czy eksperymentów muzycznych na miarę dadaizmu w sztukach plastycznych.

Wysłuchuję się w jakieś piękne preludium. Jakaś uwertura na początek. Muzyka łagodnie wypełnia wnętrze kościoła. Robi się cicho, prawie tak, jakby to była prawdziwa sala koncertowa.

Ponad głowami stojących widzów/słuchaczy widzę nawet jednego, czy drugiego muzyka (w sumie jest to chyba kwartet). Tak (przepisuję teraz tę informację z zapowiedzi wycieczki, która Jasiu umieścił na swojej stronie): jest to Prague Cello Quartet, w składzie: Petr Špaček, Jan Zvěřina, Jan Zemen, Ivan Vokáč. W Czechach to chyba "gwiazdy"? Może stąd ta frekwencja? Przed każdym utworem jeden z nich zapowiada, opowiada, chyba dowcipnie, bo publiczność reaguje śmiechem. Bywam na koncertach w kościołach w Polsce, ale u nas repertuar jest raczej taki "umiarkowany", bardziej dopasowany do miejsca: Bach, Mozart... A tu właśnie "leci" humoreska Dworzaka, a za chwilę "Lot trzmiela" Rimskiego-Korsakowa. Przeboje Mistrzów? Tak, ten zespół muzyczny, to chyba taki odpowiednik polskiej "Grupy MoCarta", która zrobiła karierę podgrywając w kabaretach, robiąc humorystyczne transkrypcje i pastisze znanych powszechnie utworów. Zaraz potem jest jakiś lekki utworek Grapellego czy Diango Reinhardta. Będą też przeboje muzyki filmowej (rozpoznaję coś z Ennio Morricone). Wiele utworów. Grane w sposób rozrywkowy, zabawny. Momentami pudła instrumentów smyczkowych "robią" za bębny – są wstawki perkusyjne. Ot takie "chwytilwe" gagi. Ludzie to lubią. Długi występ, wiele utworów, najróżniejszych. Są i jakieś wersje "Ave Maria".

Ale to słucham już będąc na zewnątrz kościoła. Niektórzy z naszej grupy wybrali zresztą tę opcję od początku i siedzą niedaleko od wejścia. Koncert wciąż jeszcze trwa, ale ja idę wyżej, za kościół, aby zwiedzić cmentarz, położony na pochyłości kościelnego pagórka. Wiele tu starych niemieckich grobów. Zachwycają wizerunki na szkle: postaci sprzed bywa ponad 100 lat. Niektóre zdjęcia przetrwały jakby nienaruszone. Innych już, bywa, nie ma – choć były, na co wskazują ślady. Czytam niemieckie inskrypcje: tę poezję cmentarną. A poprzez okna, wysoko na murze kościoła, dobiega muzyka. Stłumiona, z oddali, jest jakby piękniejsza nawet. Sam kościół też jest piękny. Na tle nieba, takiego po zachodzie słońca, cebulasta wieża. Cały cmentarz ogrodzony starym murem, za którym jest już po prostu las. Koncert zaczął się tuż po 18-tej. Teraz jest po 19-tej i z niedaleka dobiegają odgłosy bydła: ryczą krowy, to jest czas dojenia! Marcinkowice to wciąż wieś, gdzie jeszcze jest rolnictwo. I tak ten koncert, ta bądź co bądź, kultura wyższa, zderza się tu swymi wysublimowanymi dźwiękami z odwieczną orkiestrą natury. Jeszcze dobiegają mnie jakieś wesołe utwory swingowe typu Orkiestra Glenna Millera, i chyba już jest koniec..

Długo trwa wychodzenie publiczności z kościoła. My jeszcze w nim zostajemy, bo Jasiu objaśnia nam szczegóły wystroju wnętrza, a potem jeszcze mówi parę słów o przykościelnym obelisku, ustawionym tu, aby uczcić tych, których ta I wojna światowa kosztowała życie. Posegregowano ich: każda z czterech stron świata, to nazwiska tych którzy: (1) polegli, (2) zmarli, (3) uznani zostali za zaginionych. Ale nie pamiętam, co jest na czwartej stronie tego pomniczka? Westchnienie do Boga, wspólne?

Przypomina mi się książka, którą właśnie czytam po raz kolejny. Powieść "Czarny obelisk" mojego ulubionego pisarza Erich'a Marii Remarq'ua najbardziej znanego przez swoją najśłynniejszą, antywojenną w przesłaniu, książkę "Na zachodzie bez zmian", napisaną na kanwie swoich własnych wojennych doświadczeń. W "Czarnym obelisku" pisze, jak szybko ludzie jednak zapomnieli o okropnościach tej I wojny! Bohater "Obelisku", Ludwik, młody weteran wojenny, ma w 1923 roku dopiero 25 lat. Właśnie poświęcony zostaje taki, jak ten tu stojący, pomnik poległych, obywateli jego rodzinnego miasta. On, gdy miał 20 lat i był w okopach na froncie francuskim, marzył tylko o jednym: aby ta wojna już się skończyła, aby wrócić do domu, aby przeżyć.

Wszyscy marzyli o tym samym, umęczeni wojną ("Do domu wrócimy, w piecu napalimy.." – słowa piosenki z "Czterech pancernych", pamiętacie? – takie proste są zawsze marzenia żołnierzy, z każdej wojny).

A w "Czarnym obelisku", w zaledwie pięć lat po I. wojnie światowej, już przemawia, na tej uroczystości odsłonięcia pomnika poległych, jakiś pruski nacjonalista, dawny major, i krzyczy "jeszcze zwyciężymy!"...

My też jesteśmy już trochę zmęczeni naszą wędrówką. Wprawdzie trwa dopiero od południa,

ale teraz, około godziny ósmej wieczór, jest już ciemno. A jeszcze kilka kilometrów przed nami. Wychodzimy z kościoła obok zamkniętej od 10 już lat plebanii (budynek jest jednak w trakcie remontu – ma tu być jakieś miejsce spotkań), na drogę, która przez czarny już las (włączamy "czołówki") poprowadzi nas najpierw nieco w górę, do ostatniego świętego polnego – pięknej figury na skraju lasu, którą oglądamy już w świetle naszych latarek – a potem już w dół, do rzeczki i do biegnącej wzdłuż niej ścieżki rowerowej, którą podobno (jeszcze nie sprawdziłem) można się dostać do samego Broumowa, od naszej granicy prawie (tylko tam, przez pierwsze kilkaset metrów ścieżki nie ma). Obiecuję sobie kiedyś się tędy przejechać rowerem. A na razie cieszę się, że czeka na mnie mój samochód. Przechodzimy przez granicę RP i rozjeżdżamy się do domów.

Wracamy do siebie i do naszej teraźniejszości. Niech dobrzy święci polni mają nas w opiece.

Sławomir Włośniewski